

Ryszarda Hanin

bbs



Początki Pani kariery scenicznej związane są z Teatrem i dyktando im. Tadeusza Kościuszki w Stelcach?

Tak. Był to dla mnie bardzo piękny okres. Ale od tego czasu minęło 30 lat mojego życia „pozawojkowego”.

W takim razie proszę opowiedzieć o początkach Pani działalności zawodowej.

Jako aktorka, już z „papierkiem” stawiałem pierwsze kroki pod opieką Leona Schillera w Łodzi. W 1948 r. zabrał mnie on ze sobą do Teatru Polskiego do Warszawy, gdzie grałam aż do czasu utworzenia Dramatycznego. Tutaj jestem do dzisiaj z dwuletnią przerwą, kiedy wróciłam na krótko do Polskiego.

W jakim repertuarze można Panią oglądać w Dramatycznym?

W „Ślubie”, „Na czworakach” i w „Czarnej komedii”, która cieszy się, mimo upływu lat, niesłabnącym powodzeniem wśród publiczności. Boję się, że przy tej ciągłej frekwencji, będziemy musieli dojeżdżać jeszcze ze Skolimowa (to nasz Dom Emeryta) na spektakle.

Ostatnio oglądaliśmy Panią w telewizyjnym filmie „Gra”. Jak układa się Pani współpraca z tą instytucją?

Czuje do telewizji duży sentyment. Dała mi szansę zagrania kilku naprawdę ciekawych ról. Od razu, w pierwszej sztuce „Oni wiedzą co to jest miłość” — a działa się to kilkanaście lat temu — kazano mi się mocno postarzyć. Grałam wówczas 80-letnią amantkę, obok Bardiniego, który był Berliozem, po latach tułaczki powracającym do swojej ukochanej.

Często gra Pani role matek, kobiet starszych, którym życie nie szczędzi ciężkich doświadczeń i które borykają się z losem.

Tak, ale to jest dobra szkoła, nie każe się upierać, zwłaszcza kobiecie — przy młodości. Role ludzi starych są poza tym ciekawsze, bogatsze. Często pytają mnie, czy nie czuję się zaszufładowana. Odpowiadam, że nie — matki są przecież tak różne, staram się nie powielać tych ról, podchodzę do każdej z nich indywidualnie.

Wspomniała Pani o wymarzonych rolach — jakie to były i są?

Przed wszystkim postacie z Czechowa, chociaż w jednym przypadku udało mi się marzenie zrealizować — Sonia w „Wujaszku Wani”, w przedstawieniu Teatru Polskiego, w którym grałam obok Różyckiego, Barszczewskiej, Świderskiego, Mileckiego i innych znakomitych aktorów. Teraz przestałam marzyć. Zresztą nie zawsze marzenia bywają słuszne. Najtragiczniejsze jest kiedy aktor zagra tę swoją wymarzoną rolę, a ona okaże się kłeską, a i tak się zdarza.

Skoro wspomniała Pani o Czechowie — wydaje się, że często Pani gra w sztukach rosyjskich i radzieckich?

Tak rzeczywiście jest, np. w „Tragedii optymistycznej” byłam komisarzem, grałam Larysę w „Irkuckiej historii”, którą niedawno reżyserowałam w Szkole Teatralnej jako musical. W czasie prób daliśmy jej podtytuł „East Side Story”.

Jest Pani również profesorem w PWST — czy przynosi to Pani zadowolenie?

Ogromne. Praca z młodzieżą jest ciekawa. Większość grupy, z którą pracowałam znalazła się teraz w zespole Teatru Płockiego. Wierzę w ten teatr i będę starała się nie tracić z nimi kontaktu.

Chciałabym zapytać o Pani satysfakcje zawodowe...

Zawód aktora jest ciężki, wymagający kondycji nie tylko fizycznej, ale także psychicznej, odporności na wszystkie gorycze, stressy, niepokoje, a tego jest 80 procent.

Zostaje więc 20 — są to przebliski sukcesu, powodzenia, radości z udanej roboty, ale jeżeli aktor to ma na swoim koncie — może powiedzieć, że osiągnął pełnię szczęścia zawodowego.

Jakie są dla Pani najmiłsze tego objawy?

Chyba spontaniczne dowody sympatii ze strony widzów. Np. na festiwalu w Łagowie w tym roku otrzymałam „Złote Grono” przyznane przez publiczność. Byłam tym zaskoczona. Łagów jest przecież imprezą filmową, a ja bardziej czuję się aktorką teatralną. Często jednak występuję w telewizji, a widzowie odbierają to jak granie w filmie i chyba stąd to zaszczytne wyróżnienie.

Pani plany na przyszłość?

Dobiega końca praca nad „Nocami i dniami”, w których gram rolę charakterystyczną Zarneckiej — służącej, alkoholiczki, a w telewizji wystąpię jako świadek oskarżenia w „Procesach” Wacława Florowskiego.

Tekst: DANUTA ORLIK
Zdjęcie: CAF — M. KŁOŚ